



KARCZMY BABIŃSKIE.



OSTATNIA Z KARCZEM.


Fot. A. Kuczyński.

„Hej! gdzie Rzym? gdzie Krym? gdzie karczmy babińskie?” — woła Pol w „Móhorce”.

Oczywiście, nie ten Rzym, który jest duchową stolicą chrześcijaństwa, tylko rozwalona przed kilku laty karczma na szlaku czumackim z Brodów i Radziwiłowa do Odesy. Miał w niej, wedle podania, złapać w swoim czasie dyabeł Twardowski, a choć prawdopodobnie prędzej to się stać mogło w innej karczmie, również Rzymem zwanej, a leżącej w pow. wielickim,

przecie jeszcze w połowie zeszłego stulecia widniała na okiennicach karczmy podolskiej wymalowana legenda o pani Twardowskiej.

Otóż o 40 wiorst od tego Rzymu i na tym samym, do Odesy, a zatem i do Krymu wiodącym szlaku, stały trzy karczmy babińskie, z których dwie zburzone zostały przy budowie stacji Oratowo drogi żelaznej Koziałyńsko—Humańskiej, trzecia zaś pozostała do dziś dnia. Przysłowia, przez Pola cytowanego, używano na oznaczenie rzeczy czy miejsc od siebie odległych, rozstrzelonych.



GRODY PIASTOWSKIE.

(dok.).

Nazwa miasteczka Wizny w Łomżyńskim, (gdzie już w r. 1170 istniał jeden z najmocniejszych grodów mazowieckich nad Narwią) pochodzi od wyrazu *wyżyna*, *wyżnia*, t. j. nadbrzeżna góra, na której gród piastowski zbudowano.

Każdy znaczniejszy gród, zwany po łacinie *castellum*, miał swego grododzierżcę, który był w tym grodzie namiestnikiem, t. j. zastępcą panującego i zwał się *włodarzem* (*vłodarius*), sprawując w swoim okręgu, czyli, jak potem zwano, kasztelanii *władzę* sądową, wojskową i porządkową. Z tych włodarzy piastowskich wyrosli z czasem kasztelan i starostowie grodowi Rzeczypospolitej, a „*włodarz*” z grodowego namiestnika królów i książąt spadł z biegiem wieków na zastępcę i pomocnika ekonomskiego w gospodarstwie folwarcznym.


Wewnątrz każdego grodu budowano dworzec warowny z kłoców starodrzewnych. Na zewnątrz wałów i przekopów, czyli na ogrodziu, na ogrodach osadzano najpotrzebniejszych rzemieślników, jak: kowali, kołodziejów, cieślów, szewców, rymarzy, białoskórników, czyli garbarzy, łagiewników robiących naczynia ze skóry i drzewa i zdunów robiących garnki. Garnków bowiem i to wielkich potrzebowano dużo w obozowiskach przy braku kotłów żelaznych do gotowania.

Ponieważ grody znaczniejsze zakładano w okolicach zwykle ludniejszych, więc przy każdym wytwarzało się środowisko życia ówczesnego i targowisko, zawiązek miasta w znaczeniu dzisiejszem. To też górom grodowym zawdzięczają swój początek: Kraków, Lwów, Sandomierz, Lublin, Płock, Grodno, Wilno i setki miast pomniejszych. Przy grodzie kruszwickim nad Gopłem powstało w wieku 10 i 11-ym jedno z głównych miast w Polsce, którego upadek w r. 1096 tak opisują kronikarze: Zbigniew, nieprawy syn Władysława Hermana, podniósł bunt przeciw ojcu, uciekł ze zgromadzenia swych popleczników z Wrocławia do Kruszwicy, miasta (podług kronikarzy) „załudnionego wielką liczbą obywateli i gminu, gdzie ścigał podburzonych przez siebie Po-

morzan i pogan pruskich”. Gdy Władysław Herman pobił na brzegu Gopła zbuntowanych, miasto, które sprzyjało buntowi, padło ofiarą zniszczenia, o co było łatwo, bo wszystkie miasta za doby Piastów były drewniane. A tak od owej to chwili, jak świadczą dziejopisowie, „Kruszwica obrana z bogactw i ozdób, nie prócz imienia z dawnej świetności nie zachowała”.

Gród na Wawelu był jeszcze w r. 1306 drewniany. Zamek lubelski również, i tylko męstwu rycerzy polskich w r. 1344 zawdzięczał, że go horda tatarska pomimo kilkunastodniowego szturmego zdobyć nie mogła. Ale nadeszły czasy zastosowania prochu i broni palnej. Słowiański gród drewniany taki, jak go opisał Al-Bekri, jakich setki budowali Piastowie przez lat pół tysiąca, stawał się w wieku 14-ym już przeżytkiem. Kazimierz Wielki bystrym swoim umysłem wcześniej to spostrzegł i jął się na potęgę do wznoszenia zamków murowanych w miejsce grodów dębowych. Jakoż w ciągu swego 37-letniego panowania wymurował zamków kilkadziesiąt. Że zaś i kościołów także dużo wymurował w miejsce drewnianych, więc dało to powodów do żyjącej po dziś dzień tradycji, że Kazimierz zastał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną. Znajdujemy w kronikach naszych takie wzmianki: „Kazimierz wielki zamek włodzimierski drewniany i w znacznej części już spróchniały, dużym nakładem zmurował z cegły, aby posiadanie Wołynia Polsce zapewnić”. Było to bowiem w czasach, gdy Tatarzy zapanowali we wschodniej Europie i znacznej części Rusi, a Polsce groziło widmo jarzma mongolskiego, i ludzie mądrzy widzieli jedyny ratunek w zjednoczeniu Rusi z Polską i w murowaniu zamków.

Czas strawił już dawno szczątki grodów piastowskich. W powodzi wieków nawet tradycja ludu zamarła, bo pozostałe ziemne usypiska nazywa on dziś „szwedzkimi okopami”, choć Szwedzi nie mieli tyle rąk ani czasu, żeby mogli usypać dziesiątą część tych grodzisk, jakie w Polsce ze średnich wieków pozostały. Mogli oni tylko korzystać z nie-



których dawnych grodzisk, gdy je w swych pochodach napotkali, ale wogóle mało się one nadawały do obrony wobec armat z wieku 17-go.

Poszukując grodzy dębowej w wałach grodzisk piastowskich, znalazłem w niektórych (np. pod wsią Grodzkie w Łomżyńskim) całe pokłady zwęglonych pni dębowych, poziomo układanych, które w połowie wysokości wałów sterczały nazewnątrz, dopóki nie zostały przy szturmach spalone, a w głębi wału tylko zwęglone. Nazewnątrz grodu znajdowały się niegdyś obozowiska, i tutaj w wielu miejscach można znaleźć dziś w roli dużo skorup z wielkich grubych garnków, które zastępowały kotły do gotowania stawy ludziom, gród budującym lub oblegającym. Garnki te z ornamentem prążkowym a niekiedy falistym przedstawiały typ prawie jednakowy w całej Lechii, a tem różniły się zasadniczo od popielnic pogańskich, że były robione już z pomocą koła garncarskiego i miały wręb wygięty nazewnątrz, co było potrzebnem do ich zawieszania nad ogniskiem. Krążki z łupku wołyńskiego o calowej średnicy, które znalazłem przy kilku grodziskach podlaskich, mogły być przyniesione przez jakiś lud, który grody te oblegał. W grodzisku pod Tykocinem znalazłem dwa typowe kamienie żarnowe lechickie owalno-wklęsłe, jakich dotąd używają do robienia mąki indyjanie w południowej Ameryce.

W zakończeniu pragnę zaznaczyć konieczność zinwentaryzowania grodów piastowych, jako pamiątek przeszłości, to jest treściwego opisu wszystkich z zaznaczeniem na odpowiedniej mapie kraju. Są to pomniki dziejów doby, w której przez pół tysiąca lat panowała na tej ziemi dynastia z krwi i kości słowiańska. Zebrane przeze mnie wiadomości o grodziskach stanowią już pewne tło, ale dokonanie całej pracy było niemożliwe dla jednostki. Aby zwiedzić setki grodzisk, potrzeba na to pół życia, ale kilkudziesięciu ludzi dobrej woli, może to łatwo i z przyjemnością uczynić w ciągu lat paru, przesyłając zebrane wiadomości do jednego naukowego zbiornika np. do redakcyi *Ziemi*, która gdyby miała w każdej parafii jednego prenumeratora, mogłaby tego za ich pośrednictwem najspadniej dokonać. Usiłowałem niegdyś dla zarejestrowania wszystkich grodów piastowskich zawiązać kółko wywiadowcze. Ludzi jednak, którzy najgoręcej myśl moją wówczas poparli jak: Bolesław Podczaszyński, hr. Aleksander Przeździecki i Edmund Stawiski, śmierć szybko zabrała. Inni, jak zwykle, skończyli na obietnicach, z wyjątkiem p. Henryka Wiercieńskiego. Nie wątpię, że dzisiaj przy współdziałaniu naszego Towarzystwa Krajoznawczego i *Ziemi*, będziemy mogli dla nauki więcej i skuteczniej coś uczynić.

Zygmunt Gloger.



Nafta i wosk ziemny w Galicyi.

3)

Według Zuber, prawdziwe warstwy dobrotowskie reprezentują młodszą czyli górną część oligocenu karpackiego. Grzybowski zaś w swojej monografii Borysławia, określa wiek warstw dobrotowskich jako dolno - oligoceński. Naftę, występującą w łupkach oligoceńskich, możemy uważać jako genetycznie związaną z temi warstwami, t. j. jako znajdującą się tam na pierwszorzędem łóżysku, natomiast, o ile występuje jak niekiedy w Borysławiu, Dźwiniaczu lub Starani—w miocenie, to prawdopodobnie dostała się tam czy to przez dystylację, czy też przez ci-

śnienie gazów, została wepchnięta w porowaty piaskowiec i wapniak, dość że występuje tam na łóżysku drugorzędnem.

O ile obecność nafty w Karpatach związana jest głównie z warstwami oligocenu, a zwłaszcza dobrotowskimi, o tyle znowu ozokeryt, występuje prawie wyłącznie, według Zuber, w formacyi miocenieńskiej. Obecność soli i gipsu, tak charakterystycznych dla miocenu, w złożach woskowych, zdaje się potwierdzać młody wiek geologiczny wosku. Muszę tu również zaznaczyć, że według Grzybowskiego właśnie obecność soli i gipsu nie

jest wystarczającym dowodem przynależności wosku do formacji mioceńskiej, ponieważ minerały te występują często i w innych warstwach. Wogóle Grzybowski całą prawie formację solną zalicza do warstw dobrotowskich, a tylko małą jej część zostawia pod uprzednią nazwą.

Ostatecznie więc, reasumując wszystko, co dotąd o stosunkach geologicznych flyszu karpackiego powiedziałam, utwór ten składa się, idąc z góry na dół, t. j. w głąb ziemi: z mioceanu, czyli ilu solnego, charakteryzującego się bogactwem źródeł słonych, wosku, soli i gipsu; z oligocenu, t. j. z warstw dobrotowskich i łupków menilitowych, w których zawarte są całe prawie skarby naftowe Galicji, wreszcie z piasków eoceńskich i warstw formacji kredowej, które tu zresztą mniej nas interesują.

Oczywiście nie należy rozumieć, iż warstwy, które tu wymieniałam, leżą zawsze tak regularnie jedno na drugim, jak karty w książce, przeciwnie—uławicenie jest nieraz poprzerywane, porządek warstw przekreślony, bieg ich ukośny; spotykamy w całym Podkarpaciu galicyjskim uskoki, siodła, fałdy, nieckowate zagłębienia, szereg schodowatych usunąć horyzontu roponośnego, jak np. w okolicy Borysławia, ale bądź co bądź zasadniczo układ przezemnie podany jest dla flyszu karpackiego nader charakterystyczny.

Nafta występuje najczęściej w rozpadlinach lub szczelinach podziemnych, które wytworzyły się w ilach, łupkach ilastych, marglach lub drobnoziarnistych piaskowcach, wskutek powolnego wysychania lub stężenia tych warstw. Spotykamy naftę także w porowatych gruboziarnistych piaskowcach lub wapniakach, gdzie łatwo mogła wsiąknąć ze zbiorników większych, a niżej położonych. Wogóle nafta w Galicji występuje w bardzo różnych warstwach i w zmiennych głębokościach; za dolny poziom ropy galicyjskiej możemy przyjąć czarne łupki menilitowe, lub rzadziej pokłady rogowców, chociaż, jak słusznie Zuber zaznacza¹⁾, trudno orzekać, czy przy głębszych wierceniach nie natrafi się na naftę i w łupkach eoceńskich, co zresztą najnowsze otwory wiertnicze w zupełności potwierdziły. Bądź co bądź zdaje się, że głównie mechaniczne stosunki uławicenia i fizyczne własności skał rozstrzygają

o istnieniu lub braku ropy. Jak już wspomniałam, nafta nagromadza się z biegiem czasu głównie w zbiornikach podziemnych, do czego rozpadliny na grzbiecie siodła i dnie zagłębień, t. j. tam, gdzie przy kurczeniu się skorupy ziemskiej zgęście warstw było najznaczniejsze, jako najobszerniejsze, dostarczały zwłaszcza dogodnej sposobności. Olej skalny nagromadzając się w takich podziemnych rozpadlinach, nieraz znacznej nawet objętości, tworzy jak gdyby jeziorka czarnego płynu, ukryte w głębinach ziemi, a których natrafienie jest pierwszym warunkiem bogatej produkcji studzien naftowych.

Grzybowski w Atlasie geologicznym Galicji, mówiąc o kopalniach naftowych Borysławia, zaznacza, że niejednokrotnie z dwóch otworów szybów jeden w pewnej danej głębokości natrafiazaledwie na ślady ropy, podczas gdy drugi dostarcza bardzo obfitej produkcji. Przyczyna zaś tej zadziwiającej nieregularności występowania ropy leży właśnie w różnym przebiegu i w różnej obfitości szczelin. Szczeliny takie nieraz bowiem będą mniej lub więcej ukośnie i stromo, a wówczas jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że dwa sąsiednie otwory wiertnicze, o ile na szczelinę taką natrąfią, dostarczają nafty w bardzo nieraz różnych głębokościach. Często także zdarza się na terenach naftowych, że obok szybów o bardzo bogatej produkcji natrafiamy na studnie ze śladami tylko ropy, co znowu tłumaczyćby można faktem, nieraz zresztą obserwowanym, że dany otwór wiertniczy przeszedł obok takiej szczeliny podziemnej, nie naruszając właściwego zbiornika naftowego. Często także, jeśli szczeliny komunikują się ze sobą, lub jeśli jedną szczelinę natrąfiło kilka otworów wiertniczych, mogą sobie wzajemnie ropę odbierać, powód częstych procesów na gruntach borysławskich. Szczeliny takie, obok ropy, zawierają w swym wnętrzu jeszcze okrucy skał otaczających, a zatem łupków i piaskowców, które przy silnych wybuchach źródeł naftowych ze strumieniem ropy bywają wyrzucane. Fakt ten dość pospolity, przez górników zwany bywa „kurzawką“.

Złoże woskonośne składa się również z piaskowców, margli i z ilów z licznymi szczelinami i pęknięciami, wśród których będą bezładnie w różnych kierunkach żyły woskowe, dochodzące nieraz do 1 m. grubości.

c. d. n.

Dr. Ludomira Biegańska.

¹⁾ Nafta. 1909 r. Zeszyt 23. Przyczynki do stratygrafii i tektoniki Karpac.



Sven Hedin w Tybecie.

(dok.).

Po skończonej ceremonii umieszczenia ich na płycie fotograficznej, zawraca całe towarzystwo w tył i znika jak duchy w bezdrożach pustyni, unosząc serdeczne życzenia pomyślności dla Hladsze Tseringa, którego Hedin ma nadzieję jeszcze kiedyś zobaczyć. Wygląda to może na ironię i można wątpić, czy ten dostojnik jest spragniony widoku cudzoziemca, przyczyniającego mu strat i przykrości, ale tem niemniej życzenie jest wzięte za dobrą monetę, tak jak, być może, zresztą było dane.

Koniec końcem pomimo wszystko nie było innej możliwości, jak wrócić na wielki gościniec, wiodący do Lada-ku od Lassy, o zwany „Tazam”. Jakoż w kilka dni później stanęła karawana obozem w Raga-tasam, gdzie po raz pierwszy od Szigatse przeciął Hedin drogę, jaką uprzednio inni Europejczycy w Tybecie jeździli. To nie napełniało go zgoła radością. Jechać po szlaku, którym szli przed nim dwaj uczeni angielscy Ryder i Rowling, którego, co więcej, istniały jaknajdoskonalej odrysowane plany i mapy, było nie tylko mniejszą przyjemnością, ale istotnie mniejszym pożytkiem. Jedyne równie ciekawą jak ważną rzeczą byłoby dopełnienie wydanej przez Anglików mapy nowymi szczegółami, byłoby zatem zboczenie na północ lub na południe. Ale to właśnie było jak najsurowiej wzbronione.

Zaraz po przybyciu do Raga-tasam zameldowali się dwaj naczelnicy miejscowi, którzy wprawdzie mieli maniery nie tylko uprzedzająco grzeczne, ale przyjacielskie bezmała, ale którzy tem niemniej w sposób zupełnie stanowczy uprzedzili, że na

żadne zboczenia od marszruty, wymienionej w paszporcie pozwolić ani mogą, ani chcą.

Wtedy Hedin uciekł się do środków wręcz heroicznych. Zawoławszy dwóch ludzi ze swojego orszaku kazał im przedewszystkiem położyć

się spać, a o północy stawić się po dalsze rozkazy. Następnie chwycił Hedin za pióro i w dwóch długich, gorących, szeroko motywowanych listach prosił nadkomisarza chińskiego i ambana (naczelnika siły zbrojnej) w Lassie o pozwolenie zboczenia z wielkiej drogi dla dokonania ważnych odkryć i pomiarów geograficznych. Listy te mieli wysłańcy wręczyć w Szigatse Chińczykowi Ma i nie czekając na odpowiedź, wrócić do obozu. Biorąc pod uwagę, że do Szigatse z Raga-tasam było 350 kilometrów, można było spodziewać się odpowiedzi przy największym pośpiechu za jakieś 30 dni. Ten czas postanowił Hedin spędzić — o ile się nic nie zmieni — na miejscu, czekając pomyślnej czy niepomyślnej odpowiedzi.



MAHMUD-IZA.

Znaczyło to tyleż naprawdę, co się zamknąć dobrowolnie na miesiąc w więzieniu. I to w więzieniu o nie bardzo miłym wyglądzie, bo w Raga-tasam wobec ciągłych wiatrów i zimna dochodzącego do 20°, pobyt trudno było nazwać przyjemnym. Wprawdzie drzwi tego więzienia — droga na zachód — stały otworem, ale że niemi Hedin wyjść nie chciał, można było uważać, że się jest w więzieniu bez wyjścia. Nie pozostawiało, jak uzbroić się w cierpliwość, czytać Dickensa, szkicować typy miejscowe i bawić się psietami, których niedawno cztery na świat przyszło.

A skoro już czas i możność były potem, do-
brze też było wyciągnąć się przez kilka dni
w łóżku, słuchając czytania Roberta, i odzyskując
siły, których nawet taki żelazny jak Hedina orga-
nizm już gonił ostatnimi resztkami.

I ostatecznie, raz się już na te nudy zdecy-
dowawszy, łatwiej je może znosił Sven Hedin,
niżli miejscowa zwierchność, która się poprostu
wyla jak owad na szpilce z niepokoju i zdenerwo-
wania. Raz po raz powtarzały się ich wizyty
z najuprzejmiejszymi prośbami, żeby się podróżnik
wyniósł do licha, to znów z groźbą, że przestaną
dostarczać żywności, to z instrukcjami, jakie im
w sprawie cudzoziemca nadesłano z Lassy. Te
instrukcje były istotnie ciekawe, a składały się
przeważnie z dwóch myśli przewodnich: po pierw-
sze, wyślijcie go jak najszybciej i drogą najkrótszą do
granic państwa, powtóre, nie rozumujcie, nie wpa-
dajcie na własne głupie pomysły, tylko słuchajcie
i wypełniajcie rozkaz dosłownie, pamiętając, że
kto nie słucha, ten dostaje kije. Zresztą nie czyń-
cie mu nic złego i innym nie pozwólcie go krzyw-
dzić, żywność sprzedawajcie mu według taksy
rządowej, dostarczajcie koni i yaków, o ile będzie
chciał jechać w umówionym kierunku.

Ale to wszystko — gniew i groźby, namowy
i perswazyje — obijało się o Hedina jak groch
o ścianę. Dajcie mi jechać na północ, inaczej
nie ruszam się z miejsca! Pewnego dnia na pró-
bę spytał się ich, czy zgodziliby się przestać jego
listy do władz chińskich w Lassie, a kiedy ręce
podniósłszy do góry, zarzekli się, że tego, jako
żywo, uczynić nie mogą, zauważył z zimną krwią,
że właściwie byłaby to już usługa zbyteczna, wo-
bec tego, że listy od kilku dni na własną rękę
wysłał i czekać będzie na odpowiedź, dopóki nie
przyjdzie. I kiedy ostatecznie zniecierpliwiony
podróżnik sucho i krótko zadeklarował, że prze-
pisaną paszportem drogą nie pójdzie, bo by się
to sprzeciwiało zasadom jego reli-
gii(!) i że idzie na północ, odpowiedziano mu,
przypuszczać można z niejaką pasyą, że niech już
idzie, byle raz sobie stąd poszedł nareszcie.

21 maja, po siedmiu dniach odpoczynku, ka-
rawana ruszyła na północ.

A kiedy po czterech dniach podróży wśród
najpiękniejszych górskich widoków, wzdłuż dzikich
urwisk i złodowaciałych, w skoku skamieniałych
wodospadów, doszła karawana do Basang, przy-
szła rozzuchwalonemu powodzeniem podróżnikowi
nowa chętka zboczyć ku ujściu Czaktak-tsan-
gu do Bramaputry. Wbrew wszelkim przewidy-
waniom tym razem już nawet nie stawiano mu
oporu, dając nawet dodatkowy, miejscowy paszport
do pożądanej wycieczki. Tyle tylko, że główna
część karawany miała iść najkrótszą drogą na za-

chód, Hedin zaś, zatoczywszy z kilkoma ludźmi
półkole, miał ją dogonić w Sakad-song.

Szybko, sprawnie i wesoło szło pakowanie pro-
wiantów na tę nową wycieczkę, z której Hedin
cieszył się jak dzieciak.

Wieczorem odbył się w obozie suty i huczny
bał, do którego Mahmud-Iza przygrywał na ku-
pionej w Szigatse gitarze, a na drugi dzień obie
części karawany rozeszły się na dni kilka. Już
była główna część karawany niemal zniknęła
z oczu, a jeszcze Mahmud-Iza odbierał od Hedi-
na instrukcje, jak ma się wkradać w łaski władz
tybetańskich, żeby i na przyszłość takie ulgi, jak
dzisiejsza, można było otrzymać. Późem zwró-
ciwszy konie, rozjechali się każdy śladem swojego
obozu. W pewnym momencie Hedin, obróciwszy
się raz jeszcze, spojrzął na swojego wiernego do-
wódcę karawany, którego dzielność i życzliwość co-
raz więcej szacował. Śmiało i pewnie siedział Mah-
mud-Iza w siodle na swoim siwku, zielona aksamitna
mycka na głowie trochę na bakier, nieodstępna fajka
w kąciu ust, czarne, wielkie futro luzem spływa-
jące po barkach potężnych—taki krzepki i śmigły
jak jodła, że się zdawał być uosobieniem siły
i zdrowia. Z zadowoleniem i przywiązaniem pa-
trzył za nim Hedin przez chwilę, a nie wiedział,
że go już tak widzi po raz ostatni.

Ale na razie nawet cień tak złowróbnego
przypuszczenia nie mógł powstać w niczyjej głowie.
Rozstawano się na trzy dni, przed sobą miało się
piękną wycieczkę w nieznane strony, a po powro-
cie do obozu, bardzo być może, już się odpowiedź
z Lassy zastanie. Było aż nadto powodów, żeby
śmiało i pogodnie ruszyć przed siebie, w ciemne
wąwozy, na mrocznych ścianach których świecą
święte napisy, na szczyty wzgórz, ozdobionych
wyobrażeniami Buddy albo ukoronowanych ruina-
mi, świadczącymi o lepszych, minionych czasach.
Ludność była życzliwa, przy wjeździe do jakiejś
wioski dwóch znaczniejszych mieszkańców wprowa-
dzało Hedina, wiedząc mu konia za cugle. Dopiero
trzeciego dnia natknął się Hedin na przegodę, ja-
kiej dotąd jeszcze nie doświadczał w Tybecie.

Już od rana obudził go hałas, kłątwy, bicie
kogoś przez kogoś po karku. Po chwili okazało
się, że jakiś miejscowy dygnitarz nie tylko płazem
szabli rozpędza krajowców, którzy z dobrej woli to-
warzyszą podróżnikowi, ale odbiera karawanie masło
i mleko wczoraj nabyte. Nie pozwala iść dalej,
nie pozwala wynająć yaków, wścieka się i grozi
za zejście z wielkiego gościńca. Kiedy Hedin mu
oznajmiał, że wniesie skargę do chińskich manda-
rynów, wyciąga szablę i wytrząsa nią tak długo,
dopóki pogardliwe wzruszenie ramion ze strony
Hedina nie doprowadza go do porządku. Osta-
tecznie po krótkiej chwili okazuje się, że i ten

dyabeł jest mniej czarny, niż się sam chce malować i pod wieczór yaki, masło i żywność wracają, a droga stoi otworem. Ale nie licząc irytacji, dzień czasu jest zmarnowany, dzień, jak się ma niebawem okazać, którego już nie można dogonić.

W Saka-dsong łączą się obie części obozu. Już zdaleka widać namioty i kilku ludzi, którzy od nich idą na spotkanie sahiba. Brak tylko między nimi rosłej postaci Mahmuda-Izy, który od kilku godzin jest chory i leży w łóżku. Na razie nic w tem niema groźnego. Już oddawna pocziwy olbrzym cierpi na silne bóle głowy, co jest prawdopodobnie skutkiem zbyt rozrzedzonego powietrza, i bez cienia niepokoju idzie Hedin do swojego namiotu rozgrzać skostniałe członki. Ale kiedy po chwili pędem przybiega Rabsang z wiadomością, że Mahmud-Iza stracił przytomność i mowę, położenie zaczyna być groźne i bez straty chwili czasu śpieszy Hedin do namiotu wiernego sługi.

Wielki i sztywny leży Mahmud-Iza na swoim pościu, w głowach drga wątyły płomyk lampki, u boku siedzi brat jego Tsering, zalewając się łzami. Usta w lewym kącie skrzywione, oko lewe przymknięte, na okrzyk przerażenia Hedina tylko bezsilny ruch prawej ręki, tylko niedołężne usiłowania wydania głosu. Hedin nie jest lekarzem, ale do tyła w swoich samotnych podróżach jest obeznany z medycyną, że ocenia od razu stan rzeczy. Mahmud-Iza ma kilka godzin życia przed sobą!

Rozcięto natychmiast ubranie. położono gorące kompresy na nogi, lód na głowę. Ale to mu już nic pomódz nie mogło. Puls był coraz słabszy i szybszy, chory oddychał ciężko roztwartemi szeroko ustami, koło dziewiątej wieczorem zaczęło się rżenie i czkawka śmiertelna. Nadchodziła ostatnia godzina.

Jeszcze dzisiaj rano był pełen życia, zdrowia i siły. Nawet się na zwykłe bóle głowy już był od dni kilku nie skarżył. Przed południem miał wprawdzie dość ostrą sprzeczkę z miejscowymi Tybetańczykami, ale tem niemniej zjadł z apetytem obiad i, jak zwykle, położył się zdrzemnąć na chwilę. Dopiero wstawszy uskarżał się na silny ból głowy i wkrótce potem pierwszy, silny atak powalił go o ziemię. Jeszcze miał przytomność, jeszcze modlił się żarliwie i głośno. Wzywał Allaha, dla którego porzucił lamaizm, błagał go o zmiłowanie, obiecywał nigdy nie opuścić godzin modli-

twy. To znów chwilami, nie mogąc ścierpieć wściekłego bólu, bił zdrową ręką o skrzynię, wzywał Guffaru, żeby go kłuł nożem po grzbiecie, co, jak sądził, zmniejszy mu bóle, dziękował wszystkim za życzliwość i wierność. W godzinę potem przyszedł drugi atak, po którym już tylko leżał jak kłoda strzaskana, charcząc przeraźliwie i jakby wpatrując się przerażeniami oczyma w oblicze stojącej u wezgłowia śmierci.

Pomimo całego współczucia prosili zebrani w namiocie mahometańczycy Tseringa, żeby odstąpił od głowy konającego, tam bowiem pozwalają prawa Islamu pozostawać tylko wiernemu, a Tsering był lamaitą. I kiedy w długiem, głębokiem westchnieniu zamarło życie, nie brat, ale Guffaru obwiązał głowę trupa swoim całunem śmiertelnym, który się przecież na coś przydał. Namiot zapełnił się szczerlnie, ale nad wszystkimi unosiła się cisza i groza. *La illaha il Allah* wolane żalosnym półgłosem toczyło się jedno za drugim, jak ziarenka strasznego różańca. Tsering z rozpacz i bólu odchodził niemal od zmysłów.

Pochowano trupa nazajutrz w pustyni. W sypkiej, zmarzniętej jeszcze ziemi wygrzebanano głęboki dół, do którego ośmiu wyznawców Islamu zaniosło olbrzyma na noszach. Pomimo przedsięwziętych ostrożności ziemia była tak sypka, że obsunąwszy się zasypała nie tylko trupa, ale i ludzi, którzy go na wieczny spoczynek układali, po ramiona. Trzeba było kopać na nowo urzą-

dzając rodzaj niszy, w której zmarły mógł leżeć swobodnie. Po zasypaniu ziemią ułożono z płyt kamiennych nagrobek, i wyrżnięto w języku angielskim napis, opiewający godność i zasługi Mahmuda-Izy.

I trzeba było iść dalej. Miejsce oboźnego objął Guffaru, ale już po kilku dniach okazało się, że ludzie, którzy żelazną ale sprawiedliwą prawicą Muhameda-Izy dawali się kierować z łatwością, do tego starca nie mieli zaufania. Wynikały kłótnie, zdarzały się poraż pierwszy wypadki nieposłuszeństwa. Oprócz tego było widoczne, że Ladaków zaczyna ogarniać coraz większa nostalgia za domem, że nie myślą już o niczem, jeno o tem, żeby prędzej wrócić do siebie. Jeszcze czekał Hedin kilka ciężkich, przeraźliwie długich dni na odpowiedź z Lassy, ale już czuł, że z tą karawaną wielkich rzeczy zdziałać nie zdoła. A kiedy w końcu przysłała odpowiedź,



SVEN HEDIN.

jak zwykle grzeczna i jak zwykle odmowna, stanęło przed oczyma jasno i twardo — trzeba wracać do domu.

W tydzień po śmierci Mahmuda-Izy zdjęto obóz, ruszając dalej. Koło grobowca stanęła cała karawana na chwilę. Głucho biły kopyta koni-
skie o ziemię, ale on już — ten tam, przed sto-

cem i wolnym wichrem pustyni do ziemi schowany — tego nie słyszał. Dziwnem skojarzeniem myśli przyszedł Hedinowi na myśl święty pustelnik z Linga — który w grobie szukał ucieczki przed życiem — za życia.

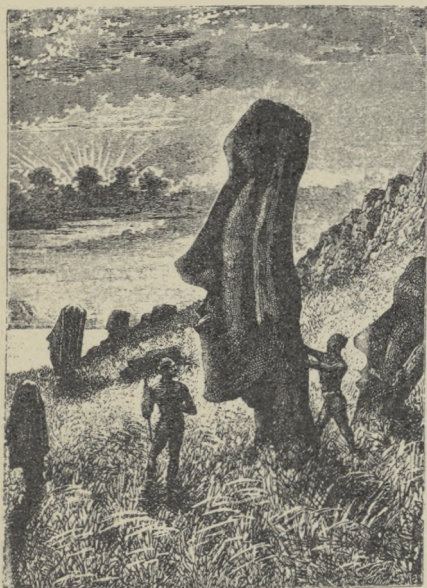
Stanisław Thugutt.

Z nad Atlantyku pod Alpy

śladem ludzkiej pracy dziejowej.

5

Rys. 11.



MEGALIT OBROBIONY Z WYSPI WAIHU.

Jak ogniwo, znamionujące przejście pomiędzy dolmenem bretońskim a Arc-de-Triomphe paryską przedstawiają megality, wzniesione nie wiadomo kiedy i przez kogo na jednej z wysp, tworzących archipelag Tonga (patrz rys. 12), tak też takie megality, również nieznanego pochodzenia i z nieznanego czasu na wyspie Wielkanocnej, z rysami wyraźnymi głowy ludzkiej (patrz rys. 11), przedstawiają ogniwo łączące menhir bretoński z posagami, uprzymiastymi postaciami wielkich ludzi, zdobiącymi miasta europejskie.

Te typy atoli przejściowe pozostają na tych wyspach oceanijskich osamotnione, jako wieczna zagadka dziejowa. Przy ich zaś pierwowzorach

w Bretanii ciągle, nieprzerwany dotychczas rozwój, kultury pozwolił wzniesć ostatnie ogniwa, znanej obecnie sztuki budowniczej. O parę kilometrów poniżej szeregu menhirów Saint-Pierre na Quiberonie wznosi się okazały posąg generała francuskiego Hoche'a (patrz rys. 14). O kilkanaście kilometrów powyżej Carnacu, w Aurey, grobowa kaplica (patrz rys. 13) przypomina prostymi kształtami swymi świątynię egipską lub dalszy jej rozwój, grecką. Te dwa pomniki nowoczesne w zamierzeniu przeszłości nadają tonącym dziejom Bretanii tętno życia współczesnego. Przypominając zaś minione wypadki, które uprzytomnić w umysłach patrzających muszą, grozą je wstrząsają.

Znamienna dla istoty ludzkiej a pouczająca jest ta groza dziejów.

VIII.

Znam w dziejowej przeszłości dwie tylko chwile takie, które ze względu na ówczesne pokolenie

Rys. 12.



FORMA PRZEJŚCIOWA DOLMENU Z WYSPI TONGATABU.

nie wahałbym się nazwać szczęśliwymi. Lecz, o dolo tragiczna człowieka! w obu tych chwilach źródło szczęścia dla współczesnych nie wypływało z korzystania z warunków bytu społecznego, lecz właśnie z niezbitej pewności, że owe warunki ulegną wkrótce całkowitemu przeistoczeniu. Zachwyt współczesnych chwilą tą nie pochodził bynajmniej z nasycania się kulturą własną lub wiedzą osiągniętą, lecz właśnie z niezachwianej wiary, że jutro nastąpi nowa era, że nowe życie ich oczekuje. Nie chcieli oni wcale wraz z Faustem zatrzymać chwili bieżącej, lecz owszem, pragnęli bieg jej nawet przyspieszyć, a zwłaszcza upewnić się, że przeszłość już nie odżyje.

Pierwsza chwila szybko minęła przed XX wiekami. W głównych centrach ruchu dziejowego niedopuszczeni do godów życiowych dowiadawali się od obcych przybyszów, że wszyscy ludzie, a więc i oni, są dziećmi jednego Boga, przebywającego w górze nad nami, na niebie; że ów ojciec niebieski zlitował się już nad ich dolą, że słowa, jakie ci przybysze głoszą, pochodzą od syna tego Boga, mieszkającego na niebie; że ów syn był już raz przez ojca zesłany; nie będąc wszakże za syna bożego uznany, został umęczony i wzniósł się napowrót do nieba; że obecnie ów syn zsyła im tylko błogosławieństwa, lecz wkrótce z nieba powróci, by sąd na ziemi sprawować, sprawiedliwość wszystkim wymierzyć, nową erę w życiu ludzkości wytworzyć...

Przewrotu oczekiwanego podówczas miała dokonać istota nadziemską, niezależnie od woli i czynów ludzkich. Hasłem więc się stało słowo: czekać. I czekali...

Przed wiekiem druga taka chwila jeszcze szybciej przemknęła — we Francji. Ludzie owocześni, nieświadomi istoty własnej oraz podstaw i początków społeczeństwa, głęboko byli przekonani, że dość jest wolę jednostki zastąpić wolą zbiorową większości, by uleczyć wszystkie rany narodu przez rządy królów mu nadane, by przetworzyć społeczeństwo całe i nową erę w

Rys. 13.



KAPLICA W AUREY.

rozwoju ludzkości rozpocząć. Hasłem więc tej drugiej chwili stało się słowo: działać. I działanie rozpoczęto pospiesznie.

Wybrani przedstawiciele narodu ujęli na początek w swą dłoń niepodzielną władzę prawodawczą. Wnet jednym dekretem znosząc wszelkie klasowe i rodowe przywileje, w podzielonym na stany narodzie wytworzyli równość. Następnie, uznawszy równe dla wszystkich prawa człowieka, wprowadzili do społeczeństwa ludzkiego braterstwo, a wolność osobistą każdemu zawarowali. A gdy zatem ciż przedstawiciele narodu i władzę wykonawczą objęli, nowa era w dziejach Francji uroczystie ogłoszona została.

Niemowlę urodzone jeszcze jako su-jet du Roy, rządzone zasadą: si veut le Roy, si veut la Loi, albo z ust królewskich pochodzącymi słowy: car tel est notre bon plaisir, zaledwie wzmogło się, by już pewnie pierwsze kroki stawiać, zostało citoyen d'une republique, przed którym żadna droga zakryta, któremu żadne dostojenstwo w przyszłości niedostępnym być nie miało.

By nic w uroczym jutrze przypominać nie mogło wstrętne wczoraj, cała Francja podzieloną była na nowe okręgi administracyjne; składające ją kraje dostały nowe granice i nazwy; czas i przestrzeń, ciała płynne i stałe podległy nowej

Rys. 14.



POMNIK HAUCHE'A.



mierze i wadze, gmachy publiczne otrzymały nowe przeznaczenie, pałace zaś i zamki, co najważniejsze, nowych mieszkańców i gości.

W taki sposób pomiędzy przeszłością a wymarzoną przyszłością legła przepaść niezgłębiona. A nad nią stanęło widmo skrwawione ostatniego, według przekonania prawodawców, króla (Ludwika XVI). A patrzyli oni na swe dzieło nie tylko z dumą, lecz i z wiarą w jego trwałość. Wiara zaś ta nie wyłącznie tylko na doktrynie filozoficznej opartą była. Lud cały, mając sobie przyznane wszelkie prawa polityczne i społeczne, poczuł konieczność wystąpienia w ich obronie przeciw wrogom. Byli zaś ci wrogowie liczni i silni, zewnętrzni i wewnętrzni.

Łatwiej było bowiem uchwalić, nawet jednogłośnie, równość, wolność i braterstwo, niż uchwalone do praktyki życia wprowadzić. Dwie warstwy społeczne, kapłani, zwłaszcza wyżsi, i arystokratyczna szlachta poczuła się osobiście dotknięci zniesieniem swych dotychczasowych przywilejów, zapewniających im wyjątkowe a przodujące stanowisko w narodzie. Rozpoczęła się gwałtowna emigracja. Opustoszały pałace i zamki. Emigranci przez agentów podtrzymywali wewnątrz kraju niezadowolone mas zaślępionych, a od siebie

w jakikolwiek bądź sposób zależnych. Knowania mi swemi utrudniali obronę kraju przeciw wrogom zewnętrznym, którymi się okazali wszyscy monarchowie europejscy, rozporządzający gotowymi wojskami. I, rzecz dziwna, na czele wrogów republikańskiej i królewskiej Francji stanęła również królóbójcza a konstytucyjna Anglia. Nie legitymizm mroczny, lecz rywalizacja ekonomiczna to sprawiła.

Emigranci francuscy tłoczyli się w Anglii. Rząd angielski, nie szczędząc pieniędzy na zapomogi wybitniejszym jednostkom, formował z nich wojsko lądowe i marynarzy.

Zarówno blizkie sąsiedztwo z Anglią, jak i usposobienie ludności miejscowej, bardziej posłusznej kapłanom i bardziej przywiązanej niż gdzie indziej we Francji do przekształcanych przez nowe prawa form życia społecznego, sprawiły, że w Bretanii i sąsiedniej z nią Vandeii doszło nawet do walki orężnej przeciw rzeczypospolitej. Tę walkę podtrzymywali emigranci, sami podtrzymywani przez Anglię. Jakoż w 1795 r. Quiberon i okolicy Carnacu stały się widownią wyjątkowo tragicznych, nawet na owe wogóle tragiczne czasy, wypadków dziejowych.

(d. n.).

Ig. Radliński.



Pieczenie w poznańskim archiwum państwowem.

Pod tym tytułem miał 6-go września b. r. na posiedzeniu pierwszym X-go Zjazdu niemieckich Archiwistów (Archivtag) w Poznaniu dyrektor poznańskiego królewskiego archiwum, prof. dr. Prümmer, wykład z sfragistyki polskiej, bardzo interesujący. Zebrał on w archiwum poznańskim około 5000 pieczęci oryginalnych, które też opisał i z których najciekawszymi illustrował wykład w świetlanych obrazach.

Nasamprzód omawiał pieczęcie instytucji duchownych i dostojników w Wielkopolsce, zaczawszy od pieczęci gnieźnieńskiego arcybiskupa Jana z r. 1153, wiszącej u dokumentu najdawniejszego w tem archiwum. Jest to dotychczas unikat sfragistyki polskiej jako *sigillum impressum* aż do XVIII wieku. Wspaniałe są pieczęcie niektórych książąt polskich, jak np. Przemysław II, Ziemomysła Kujawskiego z roku 1287 z rycerzem w zbroi, przebijającym włócznią niedźwiedzia (może jako symbol zwycięstwa chrześcijaństwa nad pogaństwem?). Pieczęć tronowa

Kazimierza W. z r. 1358 ma 110 mm. średnicy; większa od niej (125 mm.) jest tylko pieczęć Stanisława Augusta z r. 1791.

Pieczęcie szlachty polskiej nie są tak urozmaicone, jak niemieckiej. Pochodzi to stąd, że wiele rodzin w Polsce połączonych było jednym herbem; tak np. herb Lubicz obejmuje 320, Jastrzębiec 584 rodzin. Niektóre z tych herbów przedstawiono w świetlanym obrazie. Najstarsza pieczęć prywatna jest z r. 1260. Na niektórych pieczęciach widać kilka herbów razem. Formy pieczęci bywają rozmaite, owalne, trójkątne, sześciokątne, ośmiokątne i t. d. Pod dokumentem braci Ostrorogów, dziedziców Lwówka, wisi pieczęć, wykazująca, prócz herbu, litery M. L. Są to initialia Marcina Ostroroga Lwowskiego, a zarazem dowodem przyjęcia nazwy od miejscowości odziedziczonej.

Z pieczęci miejskich tylko niektóre pokazał prelegent, np. Kościańską z XIII w. i wielką pieczęć poznańską z XIV wieku, której stampilia do-



ład przechowana jest w ratuszu. Dowodzi tego choćby napis na stampili z tą samą akurat pomylką, co i na pieczęci dokumentu z podaną datą.

Następnie mówił prof. Pr. o materyale pieczęci, wosku, a później laku. Pieczęcie umieszczone były w puzderkach (kapslach) z drzewa, blachy, mosiądzu, miedzi, kości lub t. p. Jeżeli kapsle były z żelaza, to musiały być papierem owinięte, aby nie rdzewiały. Zawieszane bywały pieczęcie na sznurkach jedwabnych, konopianych lub pergaminowych taśmach.

Nigdy nie owijano pieczęci pakułami, watą lub t. p., gdyż one, wchłaniając tłuszcz, psują pieczęć.

Z innych wykładów na tem zebraniu podnieść godzi się wykład radcy archiwalnego D-ra Karge z Królestwa o archiwach rosyjskich, mianowicie w Moskwie i Petersburgu, a zwłaszcza o polskolitewskiej metryce.

Były też wykłady o nowej metodzie fotografowania dokumentów i t. d.

Od czasu wybudowania gmachu akademii, Poznań coraz częściej staje się miejscem zjazdów uczonych niemieckich. Polakom zaś zjazdów osobnych polskich urządzić nie wolno.

Dr. F. Chłapowski.



GAWĘDY KRAJOZNAWCZE.

XVIII.

Mówić o właściwym celu wycieczki — wydaje się conajmniej zbyteczne. Raz dlatego, że w zasadzie, w teorii każdy człowiek ma już swoim zdaniem dostatecznie wyrobione o tem pojęcie, a powtóre, że te jego pojęcia tak zwykle głęboko wypływają z jego osobistych upodobań, przyzwyczajęń, nawet nałogów, że coś w nich zmienić, coś w innym popchnąć kierunku, jest sprawą bynajmniej nie łatwą, jest zadaniem całkiem niewdzięcznem.

Jakże to? Pocóż się ma iść na wycieczkę? Żeby odpocząć, żeby zmienić wrażenia, żeby coś nowego zobaczyć, żeby mieć co opowiadać po powrocie. Jeżeli ktoś — co drugi, czy choćby co piąty — doda, żeby się czegoś nauczyć, sprawa wydaje się być do dna wyczerpana, wszelkie zaś dalsze poprawki wyglądają na szukanie dziury w całym. Być może.

Ale weźmy rzeczywistość. Sam bywałem uczestnikiem wycieczek, składających się z kilku lub kilkunastu osób, lekarzy, inżynierów, przyrodników, adwokatów i literatów, zatem ludzi, mających całkiem wystarczające okrzese umysłu, przygotowanych zdawałoby się do przyjmowania wrażeń w sposób właściwy, do wyciągania należytego pożytku z wycieczki. Zwiedzaliśmy okolice znane, leżące niedaleko Warszawy, o nazwach głośnych, takich, do których nieznajomości wstyd byłoby przyznać się. Po przyjeździe na miejsce okazywało

się, że o stanie przeszłym tego, cośmy widzieli wszyscy razem, wiedzieli bardzo niewiele, o stanie obecnym — najczęściej nic zgoła. Po krótszym czy dłuższym pobycie wracało się do domu przywołując ze sobą szereg wrażeń tego mniej więcej pokroju. Słońce świeciło, prócz mleka niczego nie było można dostać na miejscu, droga była haniebnie piaszczysta, gdzieś tam leżała kupa gruzów, roznoszonych podeszwami przechodniów po świetle, dokoła pełno było chałup podobnych do kurników — kiedyś podobno było inaczej.

I co z tego? Oczywiście słońce świeci albo nie świeci, drogi są wszędzie u nas haniebne, gruzy wszędzie rozsypują się w proch, a choć tam kiedyś może było istotnie inaczej, to i cóż z tego, skoro nie znając stanu dzisiejszego, nie wiemy jak „wczoraj” z „dzisiaj” powiązać.

Zatem zgodzisz się łaskawy czytelniku, że chodzimy na wycieczkę najczęściej zgoła nieprzygotowani. Odpocząć i odetchnąć świeżem powietrzem możnaby od biedy z równie dobrym skutkiem znacznie bliżej, a jeżeli wreszcie nawet taka wycieczka warta jest coś więcej, niż siedzenie w cukierni albo na placu wyścigowym, to jednak trzeba się zgodzić, jest to jeden z niższych sposobów wycieczkowania, sposób dzieci, niedołągów albo ludzi ospałych.

Jest na to oczywiście bardzo łatwa odpowiedź. Na całym świecie są wydawnictwa, przewodniki, książki, pisma, instytucje, podające podróżnikom zapas potrzebnych wiadomości tak, jak mu się



podaje bulion w kostkach albo buty nieprzemakalne. A u nas prawie że ich niema zupełnie. Ale z tego nie wypływa bynajmniej wniosek, żeby nie można i żeby zwłaszcza nie trzeba było przygotować się do podróży samemu. Jeśli niema tego materiału myślowego do wycieczki w stanie gotowym, to znaleźć go przecie choć trochę można rozrzuconego po encyklopedyach, w słownikach geograficznych, w różnych—zależnie od specjalności—monografiach i badaniach ułamkowych. Pozostaje do rozstrzygnięcia pytanie—co lepiej: czy poświęciwszy na całość wycieczki dziesięć dni, oddać dwa dni na należyte przygotowanie się do niej, czy iść na nią odrazu niefrasobliwie, a wrócić zadowolonym z siebie z pustymi rękoma.

A i w sprawie samych podręczników wycieczkowych, przewodników i zaokrąglonych monografii poprzestałmy na uwadze, że jeśli niema ich komu u nas pisać, niema tem więcej komu wydawać, to już najmniej jest komu nabywać i użytkować. I nie trudnoby zapewne było u nas spotkać człowieka, który podróżuje dość dużo, łoży na to sporo czasu i grosza, ale bez książek, któreby mu samodzielne przygotowanie zastąpiły, obchodzi się doskonale.

Wreszcie — to jest punkt drugi, ważniejszy — nawet bardzo wzorowe przygotowanie do podróży sprawy nie wyczerpuje. Są i dziś już ludzie, którzy tę stronę wycieczek traktują jeśli nie poważnie, to sumiennie przynajmniej. Robią notaty, wyciągi, niekiedy nawet zapisują w pamięci czy notesie podróżnym swoje spostrzeżenia podróżne. Zatem—w Czersku jest rzeczywiście zamek czyli raczej jego ruiny. Płock stoi naprawdę na krawędzi wysokiego wzniesienia, tu i owdzie niema już zwalisk, o których wspomina starożytna Polska, a które się tymczasem gdzieś zapodziały. Można by coprawda z równie dobrym wynikiem, a znacznie prędzej i taniej, dojść do tych samych wiadomości przez osoby trzecie, przez znajomych, którzy tam byli, albo przez listy do okolicznych mieszkańców. Ale się ludzom, może nawet i słusznie, częściowo wydaje, że lepiej będzie, jeśli te spostrzeżenia osobiście i naocznie uczynią. Kolekcjonuje się te wrażenia tak, jak niektórzy ludzie kolekcjonują stare stroje lub okazy sztuki, na której niekoniecznie i nie zawsze się znają.

Tu chodzi o to, że te wrażenia nie są wrażeniami bynajmniej. Że i to jeszcze nie jest celem wycieczki, to znowuż sprawy nie wyczerpuje.

Bo rzecz się ma tak, jak sądzę. Z jednej strony jest ziemia, niewyczerpanie w objawach swego życia bogata, nieskończenie barwna, różnolita, ciekawa. Leżą na niej majestatyczne, wspaniałe, romantyczne, jakie kto chce wreszcie zabyt-

ki. Rozsiane są po niej, mniej skąpą, niżby się zdawało, ręką skarby sztuki, przemysłu artystycznego, żywe choć pozornie zamarłe ślady wierzeń, umiłowań i namiętności. Wyrabiają z niej i na niej rzeczy, z którymi się codzień spotykamy, ale których faz powstawania nie widzieliśmy nigdy naocznie. Chodzi po niej lud, który oprócz setnych i tysięcznych z nami podobieństw, nosi w sobie, w swoim języku, bytowanie i ulubione cechy, których myśmy się już oddawna, w dziesiątym pokoleniu wyzbyli, które są naszym straconym dziedzictwem. Za tło, ramę i treść wewnętrzną służy temu wszystkiemu przyroda, z którą się znamy od dziecka i dlatego ani na nią patrzeć nie chcemy, ani jej nie widzimy, choć ma nam zawsze, co krok, co godzinę coś nowego do powiedzenia.

A z drugiej strony przychodzi człowiek. Czasem jest wielki, myślący i czujący, jeśli nie za miliony, to za setki albo dziesiątki przynajmniej, czasem skromny szaraczek myślowy. Ale zawsze przecie ma, powinien przynajmniej mieć, swoje ja, swoje nietylko upodobania i dążenia, ale i swoją świadomość, mniej czy więcej wyrobioną, uporządkowaną, doprowadzoną do pewnej jednolitości. Nie to jest jego własnością duchową, czego się nauczy na pamięć, co sobie, jak w notesie, odnotuje w umyśle, tylko to, co będzie podporządkowane ogólniejszym, szerszym pojęciom, co będzie jedną więcej dokładnie dopasowaną częścią całości, która jest jego własnym pojęciem o danej sprawie. Zwykle, przeciętnie nie ze wszystkim mu się to udaje; umysł jego myśli zbyt wolno, zbyt nieprawidłowo niekiedy kojarzy pojęcia, zbyt niedokładnie wnika w treść rzeczy, spostrzega mało, czasem fałszywie. Ale jednak przecie — jeśli chce tylko—wytwarza się w końcu pewna całość, może niezupełnie zharmonizowana, napewno nie całkiem własna, bo się przytem cudzem myśleniem i dostrzeganiem dał powodować, ale przecie mająca swój wyraz, charakter.

Otóż jeśli teraz tych dwoje—ziemię i człowieka—przywiedziemy do siebie, trzeba, żeby między nimi przeszła iskra. Żeby ten człowiek wolniej czy szybciej, łatwiej czy trudniej, odniósł z oglądanej rzeczy wrażenie, żeby go sobie umotywowwał, żeby go wcielił, kładąc na właściwym miejscu do swojej skarbnicy wewnętrznej. Zapamiętać suchy fakt znaczy tyleż, co włożyć coś do kieszeni; odczuć go i zrozumieć—to jakby wziąć przedmiot, który nas zaciekawił, do ręki, jakby poczuć namacalnie jego wielkość, twardość, kształt, chropowatość. Choćby go się do kieszeni potem nie kładło, wrażenie, pamięć wrażenia, zostaje.

Człowiek, który tak chce chłonać w siebie rzeczy widziane, nie powie: byłem w Łysogórach, jest tam las na nich i więzienie. Bodajby się



miał dłużej przy tym lesie zatrzymać, odczuje, rozgryzie jak pestkę, jego treść i wartość wewnętrzną, jego odrębność od wszystkich innych lasów, jakie może w obrębie Królestwa zobaczyć. Jeżeli jest malarzem, zapamięta sobie dokładnie dochodzące do czarności zgęszczenie cieniów i złoty deszcz światła, sączący się na kamienne podłoże. Jeżeli jest przyrodnikiem, zaciekawia go warunki, w których po dziś dzień toczy się bój między lasem a zwalami głazów. Jeżeli nęci go przeszłość, uprzytomni sobie, kto tu chodził i władał tym kęsem ziemi, czyje nogi, jak Jagiełłowe, wpęłzały na klęczkach do miejsca świętego, kto tu drzącymi ustami, ale ręką jak stał pewną składał przysięgi, kto z obłędem, przerażoną rozpaczą szukał w najtajniejszych głuchych ostępach ucieczki lub miejsca do zgonu. Jeżeli jest ludoznawcą, pójdzie za góry, za klasztor świętokatarski, gdzie się będzie mógł kąpać w pierwotnych jeszcze całkiem wierzeniach, baśniach i gusłach, gdzie poza tem znajdzie wsie, w których ubogi komornik jada chleb, jako przysmak zbyt kowny, kilka razy do roku. Ma tu zresztą i ekonomista w najbliższym promieniu bądź mocną i śmiałą kreślone ręką ślady działalności Banku Polskiego, bądź jej dalszy rozwój, doprowadzający naprawdę kwitnące przedsiębiorstwa do zupełnego upadku.

Jest w tym jednym, szczupłym terytorium zabijaku co robić na długie tygodnie. Nie wynika stąd oczywiście, żeby każdy, kto Łysogóry ma poznać, musiał w nich siedzieć tygodniami, ale zapobiegać należy przejściu czy przejechaniu koło nich, jak w pośpiesznym pociągu, z poduszką podróżną pod głową, z zamkniętymi oczyma, z żółto oprawnym romansem w rękę.

Dobrze jest dla lepszego uporządkowania swych wrażeń i nowych idei notować je na piśmie. Niekoniecznie stąd oczywiście mają powstawać opisy podróży w stylu Nansena, Svena Hedina, czy choćby Amicisa. Często właśnie im będą mniej pretensjonalne, tem większa będzie ich wartość. Ale pisać ma się nieuchronnie większą świadomość fałszywej drogi, jaką myśl czasem idzie, lub lepiej powiedziawszy innej drogi, którą myśl iść niechce,

choć iść powinna. Jeśli w pewnej ilości wypadków wynikłby stąd pożytek dla literatury, a bodajby pomnożenie drukowanych wiadomości o kraju — tem lepiej.

Jest rzeczą zadziwiającą, choć znaną powszechnie, jak mało u nas ludzie spisują swoich wrażeń z podróży i jak je najczęściej spisują źle. Źle nie dla tego, że jakiś okres jest niedość wygładzony, a wyrażenia niedość świetne i połyskliwe, bo to są rzeczy z punktu widzenia krajoznawczego całkiem drugorzędne, ile wskutek właśnie jakiejś dziwnej oschłości, że nie powiem bezmyślności autorów. Są podróże, które wyglądają wręcz na wyciągi z encyklopedyi — jest tam wszystko: daty, cyfry, nazwiska i anegdoty, któreśmy w pierwszej klasie czytali z zapalem, niema natomiast autora, a przynajmniej tego, co nas w nim interesuje, jego duszy, wrażeń, osobistych poglądów, rzutów oka na rzeczy niekoniecznie wielkie, ale takie, w których się istotne, czasem niemal nieuchwytnie życie ukrywa. Czasem znów wyjeżdża ciężka artyleria, wielka historyzofia z podręczników dla dzieci, czy filozofia z ostatniego numeru jakiegoś tygodnika lub conajmniej miesięcznika.

A tak zdawałoby się łatwo napisać o tem, co się widziało w podróży i jak to się widziało. Jak miejscowość wygląda podczas deszczu, a jak w pogodę, czem się różni od sąsiedniej, poprzednio widzianej, jak tam ludzie żyją, co mówią, co po sobie pozostawili. Toć na to stać każdego, a i czytelnik jak najchętniejby autorowi wyraził wdzięczność, aby go tylko mógł zobaczyć i poznać.

Ba, aleć i to jest prawda, że ze wszystkich trudnych rzeczy nienajmniej trudną jest bodaj być i chcieć być tylko sobą.

W każdym razie do takich udanych czy choćby nieudanych prób pióra namawiałbym wszystkich gorąco. W najgorszym wypadku piszący będzie miał chwilę przyjemności twórczej, a nie wątpię, że i „Ziemia“ mogłaby swój przyskapy z konieczności działań opisów i podróży po kraju rozszerzyć.

Boruta.



Z Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.



Dnia 14 bież. m. odbyło się pierwsze powakacyjne zebranie miesięczne Towarzystwa Krajoznawczego w Warszawie. Wielka Sala Muzealna wypełniona była przez zebranych członków i wprowadzonych gości niemal po brzegi.

Pierwszy głos zabrał wiceprezes Zarządu Al. Janowski poświęcając gorące wspomnienie pamięci zgasłego prezesa ś. p. Z. Glogera, poczem Zarząd złożył sprawozdanie z czynności swych w czasie feryi wakacyjnych.

P. St. Thugutt wygłosił pięknie opracowany odczyt „O Krakowskim Przedmieściu” ilustrowany obrazami nikińczącymi.

Prof. Z. Wolski zwrócił uwagę zebranych na zbyt powolne i nieregularne wpłacanie „kopiejkowych” składek na rzecz projektowanego własnego domu dla Tow. Krajoznawczego.

Na skutek tego przypomnienia na cel ten złożono na ręce zarządu 71 rb.

Dnia 15 października upływa termin nadsyłania pod adresem Zarządu Tow. Krajoznawczego deklaracji i zawiadomień (podpisanych obranym godłem) o udziale w konkursie, ogłoszonym w kwietniu r. b., na zbiory krajoznawcze.

Do konkursu stawiać może młodzież. Szczegóły konkursu ogłoszone zostały w Nr 18 „Ziemi” (30 kwietnia r. b.).

Zbiory winny być nadesłane do lokalu Towarzystwa nie później niż 1 listopada r. b.

Projektowana na dzień 25 września wycieczka Tow. Krajoznawczego do Czerska odwołana została z powodu niskiego stanu wody w Wiśle, z zamiarem doprowadzenia jej do skutku w sezonie wiosennym.

□□□□□□□□□□

Nowe książki.

Antoni Gawinśki—Józef Buchbinder, polski malarz religijny (1739—1909) z jedną reprodukcją kolorową, 42 jednobarwnymi. Warszawa, 1910. Nakładem Stefana Dziewulskiego, str. 112, rb. 3.

Uczuciu gorącego przywiązania i wysokiego szacunku dla pracy i dążeń zmarłego niedawno artysty zawdzięcza swój żywot ta książka. Można się na jej dość daleko niekiedy idące zdania i sądy nie zgadzać, ale nie można odmówić autorowi prawa do własnych, odrębnych poglądów, ani zaprzeczyć, że twierdzenia swe przeprowadza konsekwentnie. Co zaś pewnem jest, należał się ten hołd bodajby pośmiertny artyście, który życiem i talentem nie frymarczył, a był w czasach najnowszych ze zmarłym już również Gersonem i nieczynnym Krudowskim, jednym z bardzo nielicznych

przedstawicieli szczerze odczuwanego malarstwa religijnego w Polsce.

Bez względu zaś na teoretyczne podziały rodzajów malarstwa, na wiarę czy niewiarę w przyszłość i celowość sztuki kościelnej, trudno w praktyce nie uznać razem z autorem, że „kościół nasz—to polskie muzea ludowe”, a zawarte w nich dzieła sztuki „winny duszę chłopu polskiego uczyć wzlotów—winny ją uświadamiać, wlewając przeświadczenie głębokie o świetlistej i płomiennej mocy, że skrzydła nie tylko anielskie—ale i ludzka rzecz, jeżeli zrozumie potęgę i przewagę ducha”.

Możnaby też jeszcze poza tem powiedzieć, że znajomość działalności nowszych zwłaszcza artystów przyczyniłaby się mogła niemało do pogłębienia krajoznawstwa w odcieniu estetycznym, niema bowiem dziś dzieła, któreby spis porozrzucanych po zapadłych kątach dzieł sztuki większej wartości nowoczesnej dawało. Stąd można wyrazić żal, że autor nie mógł, czy nie uważał za stosowne zebrać i pomieścić w swej pracy wiadomości o losach dzieł zmarłego artysty z wymienieniem miejscowości, w których się one teraz znajdują.

Książka wydana na dobrym papierze, ładnym i starannym drukiem i ozdobiona licznymi ilustracjami pozostawia po sobie wrażenie pracy sumiennej.

T-t.

□□□□□□□□□□

Kronika Krajoznawcza.

+ Roboty przy budowie kolei Herby-Kielce posunęły się już o tyle, że niebawem otwarty ma być tymczasowy ruch pociągów towarowo-pasażerskich. Władze ministerjalne zatwierdziły stawki taryfowych odległości na tej linii, na których podstawie pobierana ma być opłata za przewóz towarów i pasażerów. Zgodnie z rozkładem stacyj na tej linii otwartych dla ruchu pasażerskiego, będzie tych stacyj 11, mianowicie: Herby, Ostrowy, Blachownia, Gnaszyn, Częstochowa, Hantke, Żłoty Potok, Koniecpol, Włoszczowa, Małoszecz i Kielce.

+ W Radomiu rozeszła się wieść, że dawny kościół po-Benedyktynski, zamieniony z czasem na cerkiew, wystawiony został na licytację, w celu rozebrania go na cegłę.

Z tego powodu jeden z czytelników *Gaz. Radom.* przypomniał, że gmach b. kościoła pochodził z XVII-go wieku, fundowany był przez Jana Karola ze Szczekorzewic Tarłę, starostę olsztyńskiego i zwolińskiego. Przerobiony został na cerkiew w roku 1836-ym, gdy zaś w roku 1887-ym cerkiew przeniesiono do gmachu gimnazjum męskiego, gmach po-benedyktynski skazany został na powolną ruinę, chociaż wewnątrz jest w stanie jeszcze bardzo dobrym.

Gaz. Rad. woła o ratowanie pamiątkowych murów, które mogłyby być niewielkim stosunkowo kosztem odrestaurowane i na kościół znów obrócone. Korzystałby

z niego mogli przedewszystkiem najbardziej potrzebujący dźwignić moralnej pensjonarze sąsiedniego wzięcia.

+ Czytamy w *Dzienniku Kujawskim*: „Rozpoczęto odnawianie klasztoru OO. reformatów we Włocławku, przyczem rozeszła się pogłoska, wymagająca zresztą potwierdzenia lub wyjaśnienia, że dla powiększenia szczupłej nawy kościelnej wielki ołtarz ma być posunięty do samej ściany szczytowej. Tym sposobem musiałyby być usunięte piękne i starożytne stalle, znajdujące się za ołtarzem. Otóż zjawia się pytanie, co się z niemi stanie? i czy wogóle roboty odnowienia prowadzone są po zasięgnięciu rady specjalistów i znawców, żeby coś mającego wspólnego ze starożytną sztuką nie zostało zarte lub zniszczone.



+ Powstał projekt budowy kanału na Niemnie w pobliżu Pren. Od wsi Niemojun ku Prenom i Balwierzyskom Niemen płynie nadwyzczaj kręto. Nim statek dojdzie do Birsztan, przejechać musi 40—50 wiorst, gdy tymczasem droga prosta od Niemojun do Birsztan ma zaledwie 5—6 wiorst. Powstała więc myśl przekopania kanału, i w tym celu od wiośny inżynierowie rządowi badają grunt między Niemojunami i Birsztanami. Za najodpowiedniejszy kierunek uznano linię, wiodącą przez wsie: Niemojuny, Buczuny, Jundziliszki, Bobrany, Useluny. Wreszcie poniżej Birsztan, we wsi Modejkanach, kanał ma się połączyć z Niemnem. Przypuszczalny koszt budowy kanału osiągnie 3 milionów rubli.

+ Ciekawe szczegóły o ludności wiejskiej pow. wileńskiego podaje p. W. Gizbert w Nr 132 wileńskiego *Gonia Codziennego*:

„Uprawiając sport pieszy, wybrałem się na piechotę ze stacyi Podbrodzie do odległych od niej o trzy mile — Dubinek.

Miałem dwóch towarzyszy podróży, studentów, ale nikt z naszej trójki turystycznej nie znał języka litewskiego, i jeden tylko z nas był „Białorusinem“. Nigdzie jednak nie potrzebowaliśmy używać innego języka, jak polski. Przekonaliśmy się, że na całej przestrzeni, którąśmy przeszli, lud wszędzie jest polski, i nie tylko w parafiach dubińskiej i janiskiej, któreśmy częściowo poznali, ale również, jak dowiedzieliśmy się od miejscowej ludności, w parafiach sąsiednich: gedrojskiej, mejszagolskiej, suzańkiej, niemeczyńskiej i podbrzeskiej.

Czy cały lud, który na tem obszernem terytorium jest wszędzie polski (w niektórych z wymienionych parafii jest może z parę procentów Litwinów), był niegdyś etnograficznie litewskim, nie podejmuję się rozstrzygać. Niewątpliwie w dawnej puszczy, od dzisiejszego Podbrodzia do starożytnych Dubinek, zaludnienie było jeszcze za czasów unii bardzo rzadkie, a zatem wśród pierwszych osadników w tej puszczy: wśród załogi zamku dublińskiego, służby radziwiłłowskiej i osadników, sprowadzonych do karczowania lasów i gospodarki na pasiekach, mogli, a nawet musieli być Polacy.

Wiemy o wsłach mazurskich w puszczy białoleśkiej; byli niewątpliwie osadnicy z gęsto zaludnionego Mazowsza i w innych puszczech litewskich.

Trudno zbadać, jaka krew płynie obecnie w żyłach ludności siedmiu wyżej wymienionych parafii, ale jest obecnie faktem o którym należy pamiętać, iż tu mamy na znacznym terytorium kraju, zwanego Litwą, całą masę polskiej ludności włościańskiej. Fakt ten podkreślam, bo jest on niespodzianką dla tych, co kraj nasz poznają nie z bezpośredniej obserwacji, a z mętnych źródeł statystyki urzędowej. Nie tylko na północ od Wilna (Podbrodzie jest czwartą stacją od Wilna w stronę Petersburga), ale i na południe (przekonałem się o tem we wsi Ołonie za Rudziszkami, drugą stacją od Wilna w stronę Warszawy) lud miejscowy uważa mowę polską za swój język ojczysty.

Umiejętność czytania wśród ludu polskiego jest dość rozpowszechnioną, ale lud czyta tylko z książki do nabożeństwa, bo niema nic więcej do czytania; tacy, co prenumerują gazetkę, są znani szeroko w okolicy i należą do wyjątków, potwierdzających ogólne prawidło nieczytelności tamczego ludu“.

+ W miasteczku Uściługu nad Bugiem na Wołyniu uformowała się głęboka rozpadlina. Pod wpływem ulew w czerwcu i lipcu r. b., rozpadlina powiększyła się o kilka sążni, grożąc zawaleniem licznych domostw, przecinając komunikację między sąsiednimi ulicami i zanieczyszczając mułem koryto Bugu. Celem odwrócenia dalszego niebezpieczeństwa, ziemstwo zarządziło odpowiednie roboty, mające na celu umocowanie brzegów olbrzymiego jaru przez odarniowanie, obsadzenie wikliną i t. d.



+ We wspominkach z przed stu lat *Gazeta Warszawska* przynosi korespondencję ze Lwowa, datowaną 12 sierpnia 1810 r., a przynoszącą garść cyfr, odnoszących się do ówczesnego zaludnienia.

„Miasto nasze—pisze korespondent lwowski „Gazety“—między prowincjonalnemi miastami Austrii, może iść co do ludności po Wiedniu i Pradze, ma bowiem 44,655 mieszkańców, nie licząc osady żołnierskiej. Ile zaś przemysł miejsce jakie ożywia, okazuje to miasto handlowe Brody w cyrkułe Złoczowski, liczy one 21.000 mieszkańców, a miasto Złoczów tylko 6068; Przemysł, iako jedno z największych miast cyrkułowych, ma tylko 7358“.

Jakże inaczej Galicya wygląda po stu latach. Niedawno centralna komisja statystyczna w Wiedniu zarządziła obliczenie mieszkańców austriackich miast o większej niż 25,000 ilości mieszkańców. Cyfry te są następujące: Wiedeń liczy 2.107.981 mieszkańców, Praga 233.344 — z galicyjskich miast: Lwów 188.566, Wielki Kraków 157.251, Przemysł 55.671, Kołomyja 37.013, Stanisławów 36.645, Tarnów 36.617, Tarnopol 33.133, Stryj 29.371 i Jarosław 26.559. Brody nie dotrzymały kroku postępowi miast naszych i ustąpiły miejsca innym.

+ Osadnikom polskim w Bośni grozi stopniowe wynarodowienie. Tak przynajmniej można wnioskować z artykułów w sprawie naszych wychodźców, jakie pomieściła *Nowa Reforma*:

„Dowiadujemy się, że brak księdza i nauczyciela, którzyby nauczali w języku rodzinnym, daje się uczuć

dotkliwie naszym kolonistom. A jest ich wielu, osiedlili się u granic Bośni, w Derwanie i około Dubaju; na pograniczu chorwackiem w okręgu Novi, naprzeciw Sławonii, w pow. gradyńskim, oraz w powiatach banja-luckim i panjovorskim. Tu skupieni są najliczniej.

Główne kolonie w pow. panjovorskim są: Dżlewiecina, Grabasznica, Kamienica, Ordo, czyli Martinac, (licząca 216 domów i około tysiąca dusz), Rakovec (116 domów, przeszło 1,000 dusz), Kannichowac pod Prujavorem ma tylu osadników, że otrzymali własnego wójta— „knesa”. Czysto polskimi są tylko Rakovec i Martinac, w innych Polacy są pomieszani z Rusinami, dzięki temu, że gdy dawano ziemię tylko Polakom, Rusin podawał się za Polaka, a rząd nie pytał o metryki ani o dowody. Albo też rozdawano ziemię „Galicyanom”, w przekonaniu, że to wszystko Polacy. Prócz polskich i ruskich są także kolonie czeskie i niemieckie. Czesi dostali się w sąsiedztwo Polaków, zaś Niemcy trzymają się równin i osiedlili się nad Sawą. Nasz chłop okazał tu wielką siłę fizyczną i moralną. Wykarczował puszcze, obsiał je zbożem, pozakładał sady owocowe. Pod względem materialnym ludowi polskiemu dzieje się dobrze w Bośni, lecz uczuwa on potrzebę duchownego przewodnictwa. Są parafie, są kościoły, są księża i nauczyciele. Cóż z tego, kiedy jedni i drudzy—obcy. Cała wieś naprz. czysto polska, a ksiądz—Chorwat. W niektórych parafiach, gdzie osadnicy polscy zmieszani są z Chorwatami, zapomina już nawet pieśni religijnych polskich, a śpiewają w kościele po „arwacku”. Gdy przyjechał z Krakowa ks. Czermiński, chłopł nasi zbiegali się z całego kraju do spowiedzi i tłoczyli się na polskie kazania. Trzy Felicjanki polskie uczyły dzieci w ich rodzinnym języku. Wydalono je z Bośni. Natomiast Rusini mają tu swoich księży, nawet klasztor w Kamienicy. Metropolita Szeptycki zdobył im w Rzymie generalny wikaryat dla Bośni z zieldzibą w Serajewie.

Nikt dotychczas nie zatroszczył się o potrzeby duchowe Polaków-katolików. Już zatracają mowę rodzinną,

nawykając do chorwackiej. Są wprowadzić w 4 gminach polskie czytelnie, założone przez Krakowskie Koło T. S. L., lecz nie rozwijają się należycie, skutkiem nieudolnego kierownictwa. Brak nauczycieli polskich daje się uczuwać na każdym kroku. Coprawda warunki istnienia dla szkół nie serbsko-chorwackich w Bośni ogromnie się pogorszyły od pierwszego „parlamentu bośniackiego”. Nie przyznaje on wcale subwencji obcym szkołom. Natomiast ksiądz, oprócz pensji rządowej pobiera po 5 koron rocznie z zagrody, a po 3 kor. od komornika. Nasi osadnicy ponoszą zatem ciężary, nie mając odpowiednich korzyści duchowych.

+ Centralny organ hakatystów „Ostmark” dowodzi, że obszar własności niemieckiej w dzielnicach wschodnich państwa pruskiego zmniejsza się stale na korzyść posiadłości polskiej. Według obliczeń pisma, Polacy wykupili od roku 1896 do 1908 z rąk niemieckich 84,599 hektarów więcej, aniżeli Niemcy wraz z komisją kolonizacyjną z rąk polskich. 84,599 hektarów to niemal 15 mil geograficznych, strata po stronie niemieckiej wynosi więc według tego obliczenia przeszło 1 milę kwadratową rocznie.

Od początków czerwca, jak zapewnia pismo hakatystyczne, w ręce polskie przeszło 30 majątków niemieckich, w tem wielkie dobra Birkhausen (?). Na podstawie tych obliczeń „Ostmark” domaga się stanowczo zastosowania ustawy wywłaszczającej. Tego samego żąda „Schlesische Ztg.” zaznaczając, że wskutek zachwiania się interesów parcelacyjnych p. Marcina Biedermana nastąpi w handlu ziemią zwrot na korzyść niemieczyń.



OD ADMINISTRACYI.

Przypominamy Szanownym Prenumeratorom, że czas odnowić przedpłatę na kwartał IV-ty. Prenumeratorom III-go kwartału, którzy dotychczas nie uregulowali należności, będziemy zmuszeni wstrzymać wysyłanie numerów.

TREŚĆ: Karczmy Babińskie (illustr.); *Zygmunt Gloger* — „Grody Piastowskie” (dok.); *Dr. Ludomira Biegańska* — „Nafta i wosk ziemny w Galicyi” (d. c.); *St. Th.* — „Sven Hedin w Tybecie” (z 2. ilustr.) (dok); *Ig. Radliński* — „Z nad Atlantyku pod Alpy śladem ludzkiej pracy dziejowej” (z 4 ilustr.) (c. d.); *Dr. F. Chłapowski* — Pieczęcie w poznańskim archiwum państwowem; *Boruta* — Gawędy krajoznawcze. Z Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. — Nowe książki. — Kronika Krajoznawcza. — Od Administracyi.

Winiętą tytułową i ozdoby w tekście rysował *Mikołaj Wisznicki* — Odbito w tłoczni Piotra Laskauera. — Składał i łamał *Józef Miazan*. — Odbijał na maszynie *Waleryan Szlicht*. — Kłose wykonane w zakładzie *B. Wierszkiego* i 8-ki.

Redaktor i Wydawca **Kazimierz Kulwieć.**